

MOJA DROGA DO DYHERNFURTH II

Przed moim aresztowaniem dużo słyszało się o obozach koncentracyjnych. Znane były Dachau, Buchenwald, Sachsenhausen. Mało kto znał nazwę Gross-Rosen. W każdym razie ja jej nie znałem. Pierwszy raz poznałem tę nazwę w więzieniu radomskim w m-cu styczniu 1944 r. - kiedy to odszedł z Radomia pierwszy transport więźniów do Gross-Rosen. Poprzednie do grudnia wysyłane były do Oświęcimia oraz częściowo do Majdanka. Być może te początkowe wysyłane były i do innych obozów, w każdym razie nazwy ich dla ogółu społeczeństwa były mało znane. Dlaczego wspominam o tym, jak ja to nazywam "przedsionku" obozowym. Więźniowie byli tak zmaltretowani, zmęczeni, psychicznie załamani, że wydawałoby się to dziwne, ale chcieli się wyrwać z jednego piekła - gestapowskiego - do drugiego, obozowego w nadziei, że pomimo wieści jakie dochodziły, może będzie lepiej. Po transporcie styczniowym powstał dylemat /temat dla więźniów b.ważny/, gdzie wywiążą następny transport.

W pierwszych dniach lutego 1944 r. - po 2-ch miesiącach pobytu w więzieniu - transport w którym byłem został skierowany do Gross-Rosen. W drodze został uzupełniony więźniami ze Skarżyska, Kielc oraz Częstochowy. Po kilku dniach drogi - wyładowano nas na małej stacji. Wokół ani śladu jakiegogo obozu. Po tym w kierunku na obóz. Pierwsze wrażenie było bardzo ponure. Droga w niewiadome prowadziła do celu, który w założeniach miał być dla nas końcem naszego życia. Ponury stan zmienił się na stan grozy po przekroczeniu bramy. Wiedzieliśmy już, że jesteśmy w Gross-Rosen. Szliśmy piątkami wśród szpaleru blokowych i capo, wśród akompaniamentu wycia schrypniętych od krzyków głosów eskortujących nas oraz ciągłego poganiania kijami, gumami, kawałkami węzy gumowych. I zaczęła się normalka obozowa. "Łaźnie", golenie, ubranka, fislingi oraz laczki na drewnianych spodach. Potem Lagerarzt, który siedząc tyłem do więźniów decydował czy jest zdolny do pracy, czy nie. Wyniki tych badań nie muszę podawać. Wreszcie na blok Nr 8, gdzie w tym czasie blokowym był Kaczyska. Nie wiem czy tak pisało się jego nazwisko - w każdym razie tak je wymawiano. Kto był w Gross-Rosen ten wiedział i wie, kto to był. Mieliśmy tam odbyć kwarantannę. Skończyło się na tym, że po paru dniach sformowano transport i wywieziono nas do Dyhernfurth II. Właściwie gdzie jesteśmy nie wiedzieliśmy. Byłem zapakowany na jeden z samochodów ciężarowych, którym w kabinie jechał komendant obozu Dyhernfurth II. Prawdopodobnie albo miał on coś do załatwienia we Wrocławiu bądź też rodzinę /?/ - było to powodem, że po Wrocławiu przejeżdżaliśmy po różnych ulicach Śródmieścia parę godzin. Wrocław w tym czasie nie był zniszczony. Pomimo tego, że byliśmy przez przechodzących ulicami wyrostków obrzucani grudami śnieżnymi, wyzywani / jechaliśmy odkrytym samochodem/, to jednak jak człowiek patrzył na kamieniczki w rynku oraz przyległych ulicach - nie przesadzam, czuł w tym mieście coś polskiego. Być może, że wyobrażenia posunęła się też tak daleko, że niektóre

przypominały mi ulice Warszawy. Ciekawe, że prawie cały czas odno-
siłem takie wrażenie, że będę mieszkał kiedyś w tym mieście. I
mieszkam. Całe 5 lat.

Wreszcie dojechaliśmy do Dyhernfurth u Teraz pytanie co z
człowiekiem będzie. Sam widok tego obozu zrobił jak najgorsze
wrażenie. Może się mylę, ale chyba nie miał w tym czasie więcej
jak 9-10 bloków i to część w budowie. Po drewnianych odmalowanych
barakach, czystych uliczkach Gross-Rosen - Dyhernfurth nie mogli
zrobić innego wrażenia. Żał się człowiekowi zrobiło, że będzie
umierał w byle jakim, nikomu nie znanym obozisku. Nikt nie będzie
wiedział gdzie to jest, co to jest. Co innego Dachau, Buchenwald,
Oświęcim - tam umierali bohaterowie. A tu? Napewno to były głupie
myśli, ale co ja zrobię, tak jednak myślałem. Przyszłość okazała
się zgoła inna.

Po przybyciu do obozu skierowano nas na blok Nr 11, gdzie blo-
kowym był Vogel. Na drugi dzień po ukończonym apełu, cały nasz
transport pozostawiono na placu. Miano nas przydzielać do posz-
czególnych komand. Tak poprzedniego dnia po przyjeździe jak i sto-
jąc w szeregu rozglądałem się za jakimś znajomym z wolności, a
który byłby już tzw. starym więźniem. Niestety nie znalazłem. Moim
osobistym zdaniem przeżycie jak najdłuższego okresu w obozie zale-
żało od dwóch czynników - szczęście oraz pomoc ze strony współwięź-
niów, którzy mają już wyrobione chody. Tu zaznaczyć muszę, z przy-
krością, że spodziewanej pomocy ze strony kolegi szkolnego, który
był funkcyjnym w Gross-Rosen pomimo obietnicy miski zupy - nie
otrzymałem. Wracając jednak do momentu, gdy staliśmy na apelowym
placu, nie byłem w ogóle zdecydowany do jakiego zawodu mam się
zakwalifikować, aby - co tu ukrywać, który dawałby przydział do
odpowiedniego komanda. Kartoflarnia odpadała. Jakże śmiesznie wy-
glądały teraz te myśli jakie człowiek miał na wolności." Ot, jak
się dostanę do obozu, zadekuję się w kartoflarni i jakoś tam bę-
dzie". Rzeczywistość okazała się inna. Muszę tu zaznaczyć, że
ustawiłem się psychicznie w ten sposób, że do obozu już nie wrócę
bez względu na to jak się wojna zakończy. W tym, czy innym obozie
zakończę swój żywot. Trzeba wyzbyć się wszelkich nadziei i żyć bez
złudzeń. Obawiałem się, że mogłem przyjechać już z wyrokiem wyda-
nym przez radomskie gestapo. Te i inne myśli nurtowały człowie-
ka w tych chwilach, kiedy miało się zdecydować, co ze mną będzie.
A więc stoję na tym nieszczęśliwym placu. W pewnej chwili przed
szeregiem stanął więzień wyglądający na funkcyjnego, ale bez bin-
dy, w asyście jak się później okazało raportführera Jerzaka oraz

Peterka. Od otaczających nas blokowych dowiedzieliśmy się,
że jest to doktor - kier. rewiru, że będzie wybierał kandydatów
na sanitariuszy. Miał ich wybrać trzech. Stałem w drugiej połowie
szeregu. Nim dojdzie do mnie - wybierze innych wcześniej. Jeden
już odstawiony na bok, już drugi. Zbliży się do mojej piątki, a
stałem w niej ostatni. Minął, zrobił dwa, trzy kroki, odwrócił
głowę, dostrzegł, kiwnął ręką. Serce skoczyło mi do gardła. Sta-
nąłem przed nim. Zadał pytanie zawód - maturzysta odpowiedziałem.
Miałeś coś do czynienia z medycyną - odpowiedziałem ni stąd, ni
z owąd - tak, Jaką styczność - Moja mama była akuszerką - odpowie-
działem. Wszyscy trzej /okazało się, że tak Jerzak jak i Peterek
mówili po polsku/ wybuchnęli śmiechem. Fertig - powiedział doktor.
Zakończył "nabór" do rewiru. Jak się potem okazało wzięli oni to
za dowcip podczas kiedy ja mówiłem prawdę. W ten sposób dr Hałgas
Kazimierz, którego nigdy przedtem nie znałem wg mnie uratował mi
życie po raz pierwszy. Zdawało mi się wtedy, że znalazłem miejsce

gdzie przetrzymam jakiś okres czasu. Ponieważ, faktycznie poza tym, że mama była akuszerką, z medycyną nie miałem nic wspólnego - byłem przekonany, że za parę dni będę ze szpitala usunięty.

Rewir w tym czasie był w rozbudowie. Zagospodarowany był tylko parter w jednym bloku. Piętro było dopiero w budowie. To też zamiast spodziewanego opiekowania się chorymi - wykonywałem zgoła inne czynności. Do czynności "pflugerslich" należało do mnie jedynie zmierzenie dwa razy dziennie temperatury chorym. Pozostały czas to ciężka praca przy budowie szpitala. Dr Hałgas, który sam w wolnych chwilach dosłownie i bez przesady budował szpital, włączył się do pracy murarzy z kielnią, do stolarzy z siekierą. Trudno jest mi tak na papierze oddać ogrom pracy jaki włożył on w rozbudowę tego co zastał po swoim przyjeździe. Był człowiekiem wymagającym od swego personelu uczciwości w stosunku do chorych oraz rzetelnego wypełniania obowiązków sanitariusza. Był też bardzo wymagającym w stosunku do siebie. Ten człowiek prawie z niczego w stosunkach nowo powstającego obozu budował szpital. Budował dosłownie. Znalazł czas na codzienne zwizytowanie chorych, zadbanie o nich. Doprowadził w końcu pomieszczenie szpitalne, jak na nasze obozowe warunki do odpowiedniego poziomu. Ambulatorium gdzie przeprowadzał skomplikowane nieraz, skuteczne operacje - oraz gdzie odbywało się udzielanie doraźnych pomocy chorym, opatrywanie ran, przyjmowanie na rewir itp. Personel rewiru był w miarę jego wzrostu tak wyselekcjonowany, że jako pracownicy pozostali w nim ludzie godni zaufania, oddali nie tylko samej pracy w szpitalu, ale też zajmowali się i innymi sprawami /o czym napiszę oddzielnie/.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3.9.



Po lewej stronie szczyt budynku mieszkalnego więźniów, a po prawej - front kuchni obozowej. Dalej widoczny las, gdyż tutaj się kończy teren obozu.

foto. B. Usarewicz - 1976

Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.1.6.